

Nr 07/191 (lipiec) 2025



Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze
Oddział „Sudety Zachodnie” Jelenia Góra
Komisja Krajoznawcza

Wprowadzenie



Lipiec był dla mnie bardzo pracowity. Po dłuższej przerwie postanowiłem wyjechać ponownie w Alpy. Wędrowałem Tour Du Mont Blanc uważanym za najpiękniejszy turystyczny szlak górski w Europie. Aby pokazać jak piękne są Alpy zamieszczam relacje z wyprawy.

Zamieszczam także relację z kolejnego spaceru historyczno-krajoznawczego poświęconego historii wytwarzania wyrobów ze szkła w naszym regionie.

Życzę miłej lektury.

Krzysztof Tęcza

Spis treści:

Str. 1	Wprowadzenie
Str. 3	Wędrówki po Alpach
Str. 8	Alpy – przejście z Courmayeur do Val Veny
Str. 13	Alpy – pętla La Gorge – lacs Jovet – La Gorge
Str. 18	Alpy – z Forclaz przez Col de Balme do Tre le Champ
Str. 21	Alpy - z Chamonix na Aiguille du Midi (3842 metry n.p.m.)
Str. 26	Alpy – przejście z Bellevue przez przełęcz Tricot do Le Crouet derriere do le Quy
Str. 29	Alpy – przejście od schroniska de la Flegere do Lac Blanc i z powrotem
Str. 33	Alpy – przejście od schroniska Flegere do Planpraz i dalej na szczyt Brevent
Str. 35	41. spacer historyczno-krajoznawczy – historia wyrobów szklanych

Wędrówki po Alpach

Ponieważ ostatnio wędrowałem po Alpach postanowiłem podzielić się swoimi wrażeniami z tych bardzo malowniczych przejść. Moja trasa przebiegała szlakiem uchodzącym za najpiękniejszą górską trasę turystyczną w Europie. Tour du Mont Blanc (TMB) to przejście wokół masywu Mont Blanc wytyczone trasą o długości około 170 km prowadzącą po terenie Francji, Szwajcarii i Włoch. Ze względów bezpieczeństwa wybrałem lipiec co pozwoliło mi uniknąć nadmiernych temperatur i pozwoliło na bezstresowe podziwianie krajobrazu. Co prawda aby przejść szlak trzeba liczyć się z ponad 10 tysiącami metrów przewyższenia zarówno w górę jak i w dół ale ponieważ zdecydowałem się odbyć wędrowkę w zorganizowanej grupie nie miałem problemów z organizacją przejścia czy noclegów. Pozwoliło mi to na spokojne przemierzanie gór. Nasz organizator zadbał o logistykę.



Pierwsze spojrzenie na Alpy.

Na miejsce bazy wybrał miejscowość Passy w regionie Owernia-Rodan-Alpy, w departamencie Górna Sabaudia we Francji. Już samo to sprawiało, że mieliśmy stosunkowo blisko do Chamonix, miejscowości z której można było korzystając z

licznych wyciągów czy kolejek górskich wyruszyć na szlak zaczynając marsz na wyższym poziomie. Pozwalało to nam unikanie mozolnego wspinania się zakosami przez gęsty las. Z reguły wjazdy takie zaoszczędzały nam około 1000 metrów podejścia pod górę. Było to na tyle ważne, że ponieważ nocowaliśmy w Passy za każdym razem musieliśmy tam powrócić. Dlatego na trasę wyruszaliśmy jeszcze przed godzina ósmą rano a wracaliśmy około osiemnastej. Dzięki takiemu manewrowi nie musieliśmy się spieszyć co znacznie przyczyniało się do naszego bezpieczeństwa na trasie. Poza tym mieliśmy doświadczonych polskojęzycznych przewodników UNIMLA. Ze względu na liczną grupę od razu nastąpił naturalny podział na tzw. biegaczy czyli osoby szybko chodzące, lubiące także sobie podbiegać oraz osoby skupione bardziej na podziwianiu krajobrazów i chłonięciu mijanego piękna. Ja oczywiście pozostałem przy tych drugich.



Widok takiej krówki w Alpach nie jest rzadkością.

Jak już wspomniałem logistycznie niejednokrotnie korzystaliśmy z bazy w Chamonix rozlokowanego w dolinie pomiędzy Masywem Mont Blanc a Alpami Sabaudzkimi.

Nazwa ta wywodzi się historycznie od Księstwa Sabaudii, do którego należały te tereny. Dla turystów oczywiście najważniejszy jest Masyw Mont Blanc. Co ciekawe dzisiaj przez Francuzów jest on zaliczany do Alp Sabaudzkich a przez Włochów do Alp Graickich. Może dlatego większość znawców tych terenów określa Masyw Mont Blanc jako oddzielną grupę górską. I chyba tak jest najwłaściwiej, zważywszy choćby na fakt, iż to właśnie ten masyw jest głównym wabikiem dla przybywających tu turystów. Zarówno sam Mont Blanc jak i sąsiednie szczyty są zawsze przykryte śnieżną kołderką i to właśnie ich dolinami spływają liczne lodowce. Co prawda w ostatnich latach ze względu na ocieplenie klimatu proces ich topnienia znacznie przyspieszył ale, jak twierdzą naukowcy, wystarczy by przez kilka dekad obniżyła się temperatura tylko o 1 stopień Celsjusza by proces ten się odwrócił.

Granice Alp Sabaudzkich wyznaczają rzeka Arc na południowym zachodzie oraz jezioro Genewskie i Dolina Rodanu na północnym wschodzie.

Chamonix to miejsce organizacji w 1924 roku I Zimowych Igrzysk Olimpijskich. Nic też dziwnego, że jest ono dzisiaj najbardziej popularnym regionem odwiedzanym przez turystów interesujących się sportami zimowymi. To stąd wyrusza się na najwyższy szczyt Alp i Europy. Oczywiście niektórzy twierdzą, że najwyższym szczytem Europy jest Elbrus, jednak ze względu na jego usytuowanie trwa spór czy może on być zaliczany do Europy. Niemniej Mont Blanc jest trzecim najczęściej odwiedzanym szczytem na świecie. Dodam tutaj, że niestety moje wspomnienia związane z próbą zdobycia Blanca nie są najlepsze. Wynika to z faktu, że gdy kilka lat temu podążałem z grupą na jego szczyt wydarzył się tragiczny wypadek w rezultacie którego zginęła dziewczyna idąca bezpośrednio za mną, a ja ledwo uszedłem z życiem. Nie są to miłe wspomnienia ale tak jest w górach. Choćbyśmy nie wiem jak się starali to góry mają ostatnie słowo. One zawsze zwyciężą. My wędrując po nich jesteśmy uzależnieni od panujących w nich warunków atmosferycznych, od trudności związanych z pokonywaniem zboczy ale także od naszej kondycji czy naszych słabości.

Ponieważ okolice Chamonix sprzyjają ludziom lubiącym adrenalinę, a warunki tu panujące kuszą ich do realizowania swoich pasji związanych ze sportami ekstremalnymi takimi jak: wspinaczka, narciarstwo, paralotniarstwo, biegi górskie, kolarstwo górskie czy spływy kajakowe, wypadki, w tym śmiertelne nie są tu rzadkością. Przytoczę tu słowa Marka Twighta, amerykańskiego alpinisty, który w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku dokonał wielu spektakularnych wejść w Alpach. Powiedział on, że Chamonix jest „największym zagłębieniem śmierci sportowej na świecie”. Nic dodać, nic ująć.

Patrząc wstecz to Dolina Chamonix została odkryta w 1091 roku. Z ważniejszych wydarzeń należy odnotować przybycie tutaj św. Franciszka Salezego w 1606 roku. Św. Franciszek, którego dewizą były słowa „Jedyną miarą miłości jest miłość bez miary” został kanonizowany przez papieża Aleksandra VII w 1665 roku.

W 1760 roku do Chamonix przybył przyrodnik Horace-Bénédict de Saussure, który wyznaczył nagrodę pieniężną dla śmiałka, który odnajdzie drogę wejściową na szczyt Mont Blanc. Po wielu nieudanych próbach, szczyt zdobył w 1786 roku miejscowy poszukiwacz minerałów Jacques Balmat i dr Michel-Gabriel Paccard.

Ze względu na coraz większe zainteresowanie wędrownikami w rejonie Mont Blanc w 1821 roku powstał związek zawodowy przewodników górskich (Compagnie des Guides de Chamonix). Można śmiało stwierdzić, że od tej pory turystyka górską w regionie miała formę zorganizowaną i stała się w miarę bezpieczną formą poznawania gór.

W 1916 roku pod wpływem nacisku lokalnej społeczności zmieniono nazwę miasta na Chamonix-Mont-Blanc.

Zwiedzając miasto dotrzemy do pomników przedstawiających osoby pokazujące ręką Mont Blanc. Są to wspomniani Jacques Balmat i Horace-Bénédict de Saussure. Jest jeszcze drugi pomnik przedstawiający Michaela-Gabriela Paccarda. Co ciekawe pomnik Paccarda patrzącego w stronę Mont Blanca powstał znacznie później. Przez wiele lat skrywano tajemnicę pierwszego wejścia na szczyt. W tamtych czasach lepiej było wierzyć, że dokonał tego ktoś ogólnie znany. Na szczęście sprawiedliwości stało się zadość i po latach ustawiano drugi pomnik przedstawiający prawdziwego pierwszego zdobywcę szczytu. Trzeba dodać, że prawda o tym pierwszym wejściu została niejako udokumentowana w zapiskach hrabiego Gersdorfa ze Zgorzelca, który obserwował to wejście przebywając w Chamonix.

Ciekawie przedstawia się historia pierwszych wejść kobiecych na Mont Blanc. Tutaj również próbowano przeinaczyć fakty. Angielska alpinistka Henrietta d'Angeville, która osiągnęła szczyt Mont Blanc w 1838 roku próbowała przypisać sobie palmę pierwszeństwa przemilczając fakt pierwszego wejścia dokonanego 30 lat wcześniej, a więc w roku 1808, przez Marie Paradis. Tutaj również górę wzięły względy ambicjonalne. Pierwsza w historii zdobywczyni Mont Blanc Marie Paradis była pokojówką. Dlatego na szczyt wyruszyła w używanych na codzień butach i długiej sukni. Kobieta, która dokonała pierwszego zimowego wejścia na Mont Blanc była

arystokratka Isabella Straton. Dokonała tego wraz z przewodnikiem Jeanem Charletem w 1876 roku. Mieszkańcy Chamonix nadali jej przydomek „Zimowa Dama”. Została upamiętniona przez swoich wnuków, którzy swojemu hotelowi nadali nazwę Pointe Isabelle.



W Alpach wszędzie góry są na wyciągnięcie ręki.

Kończąc wstęp do moich relacji podam jeszcze, że miejscowość Passy to nie tylko miejsca związane z turystyką czy startowiska paralotniarzy ale także wydarzenia tragiczne. Bo nieco nad naszym hotelem działało kiedyś jedno z wielu sanatoriów, w którym leczono dzieci chore na płuca. Niestety w 1970 roku wydarzyła się niezwykła tragedia. W nocy zeszła lawina niszcząc całkowicie obiekt. Zginęło wówczas 71 osób, w tym 50 dzieci. Ofiary tego zdarzenia zostały upamiętnione wystawieniem pomnika z ich nazwiskami.

Mnie zainteresował fakt przebywania tutaj Marii Skłodowskiej-Curie. Wszystko zaczęło się od tego, że jadąc do hotelu z okien autobusu zauważyłem tabliczkę z napisem Promenada Marii Curie. Okazuje się, że nasza rodaczka przybyła tu na leczenie. Niestety ze względu na duże zaawansowanie choroby popromiennej oraz

niedokrwestość aplastyczną nie udało się uratować jej życia. Maria Skłodowska-Curie zmarła 4 lipca 1934 roku w sanatorium Sancellemoz w Passy. Została pochowana obok męża na cmentarzu w Sceaux. Ze względu na jej zasługi dla nauki (laureatka nagrody Nobla z fizyki (1903) i chemii (1911)), Maria Skłodowska-Curie wraz ze swoim mężem Pierre Curie (również laureatem nagrody Nobla w dziedzinie fizyki (1903)) zostali pochowani w paryskim Panteonie.

Alpy – przejście z Courmayeur do Val Veny

Pierwszy trekking, jak to najczęściej bywa, jest przejściem rozpoznawczo-zapoznawczym. To podczas tej wędrówki uczestnicy poznają się wzajemnie, prowadzący oceniają nasze siły, a my zaczynamy wczuwać się w klimat nowych gór. Dlatego trasa zazwyczaj nie jest zbyt męcząca. Nasze pierwsze wyjście w góry było zaplanowane na około 13 kilometrów, jednak z przewyższeniami rzędu 800 metrów w górę i 500 w dół.

Po śniadaniu ruszyliśmy w stronę miejscowości Courmayeur we Włoszech. Najpierw jednak musieliśmy pokonać 11-kilometrowej długości tunel, którym przedostajemy się z Francji do Włoch. Tunel du Mont Blanc oddany do użytku w 1965 roku przebiega dokładnie pod szczytem Aiguille du Midi (3842 metry n.p.m.). Jego wlot po stronie francuskiej znajduje się na poziomie 1274 metrów a wylot po stronie włoskiej na wysokości 1381 metrów. W uroczystości otwarcia uczestniczyli ówczesni prezydenci: Francji Charles de Gaulle i Włoch Giuseppe Saragata. Co ciekawe to gdy spotkały się dwie ekipy wiercące tunel z obu stron góry odchył od osi miał tylko 13 centymetrów. Trzeba powiedzieć, że budujący wykazali się niezwykłą precyzją. Niestety w historii tej arterii zdarzył się tragiczny wypadek. W 1999 roku w tunelu zapaliła się ciężarówka przewożąca m.in. kilka ton margaryny. Spowodowało to wytworzenie temperatury dochodzącej do 1000 stopni. W wyniku tej katastrofy zginęło 39 osób i uległo zniszczeniu około 40 pojazdów. Na remont tunelu i dostosowanie go do nowych norm bezpieczeństwa potrzeba było czekać trzy lata.



Początek trasy miejscowość Courmayeur.

Po dotarciu do miejscowości Courmayeur przesiedliśmy się do darmowej komunikacji publicznej, którą dojechaliśmy do początku naszego trekkingu, w górnej części doliny Veny (Val Veny) – La Visaille położonej na wysokości 1659 metrów n.p.m. To właśnie tutaj ruszyliśmy na szlak zmierzając w stronę przełęczy Col de la Seigne, spod której wypływają strumyczki tworzące rzekę Dora di Veny. To właśnie ona będzie nam towarzyszyć podczas dzisiejszego przejścia.

Muszę przyznać, że po godzinie marszu jesteśmy zauroczeni widokami jakie nam towarzyszą. Te wysokie szczyty, niektóre pokryte śniegiem, naprawdę robią wrażenie. Jak na razie droga jest bardzo łagodna choć wciąż pniemy się mozolnie pod górę.

W końcu docieramy do schroniska Cabane du Combal znajdującego się na wysokości 1968 metrów n.p.m. Możemy trochę odpocząć. Sam obiekt, nie dość, że położony w ciekawym miejscu, jest zadbane a obsługa uprzejma. Nie było problemów ze skorzystaniem z toalety. Jadalnia ozdobiona zdjęciami

przedstawiającymi najładniejsze szczyty Alp oraz starym sprzętem wspinaczkowym i dzwonkami dla zwierząt gospodarczych.



Schronisko Cabane du Combal.

Jak było do przewidzenia od schroniska skończyło się łagodne przejście. Teraz musimy przygotować się na niezły wysiłek. Wydeptaną ścieżką podchodzimy stromo na widoczny wyżej grzbiet za którym znajdują się ciekawe jeziora Miage. Jest tu sporo ludzi i jak się okazuje część z nich zażywa kąpieli w chłodnej wodzie. Nad nami widać jezioro lodowca Miage spływającego ze zbocza Mont Blanc. Co ciekawe, jedno z jezior ma kształt serca.

W drodze powrotnej czekało nas przejście po grzędzie z luźnych kamieni. Trzeba było uważać by nie skrócić sobie nogi. Na szczęście obyło się bez wypadków.

Teraz ruszamy na przejście trawersem w kierunku schroniska Refuge Maison Vieille gdzie mamy zamiar wsiąść do kolejki i zjechać na dół do miasteczka, w którym czeka nasz autobus. Zanim jednak to nastąpi musimy podejść na wysokość 2442 metry, do miejsca zwanego Arete du Mont Favre. I dopiero teraz widzimy, że to nie przelewki. Tym bardziej, że co chwilę mijają nas jacyś biegacze. Wszyscy mają

przyczepione numery. Okazuje się, że właśnie trwa impreza biegowa w której udział bierze 1500 osób. Nie pozostaje nam nic innego jak reagować na kolejne okrzyki i schodzić na jedną stronę ścieżki. Gorzej jak jesteśmy na zboczu i pod nami jest kilkusetmetrowy spadek. Robi się wtedy trochę niebezpiecznie.



Krótki odpoczynek na szlaku.

Widoki wciąż są powalające, mijamy jakieś ruiny ni to domków, ni to pomieszczeń przeznaczonych dla wypasanych zwierząt. Przy jednym z takich obiektów odpoczywamy nabierając sił na dalszą wędrówkę. Wszak jest to nasz pierwszy trekking po bardzo długiej podróży. Teraz widzimy chmury krążące ponad szczytami, raz je skrywające, raz odsłaniające. To niesamowity taniec przygotowany nam przez naturę. Nie spodziewaliśmy się takich obrazków.

Wreszcie docieramy do schroniska Refuge Maison Vieille położonego na wysokości 1956 metrów. Wygląda na to, że to właśnie tutaj jest meta naszych biegaczy. Są ustawione stoiska, na których otrzymują oni posiłek i picie. Wszyscy są uśmiechnięci, choć widać po twarzach niektórych, że muszą być wykończeni. Nic dziwnego, bieg po takich górach, w takim upale, musi być wyczerpujący.

Schronisko jest bardzo przytulne. Pełno w nim pamiątek z gór, starych zdjęć, koszulek itp. Toalety znajdujące się nieco z boku wcale nie są okupowane. To dziwne zważywszy na ilość przebywających tutaj osób.



Ostatnie spojrzenie na Alpy przed zjazdem na dół.

Teraz najprzyjemniejsza, jak się okazało, tego dnia część programu. Zjazd kolejką na dół. Ciekawostką jest znak oznajmiający, że dzieci o wzroście do 125 centymetrów muszą być pod opieką osoby dorosłej. Przecież to jest wyciąg krzesełkowy. Niebawem słyszymy jakieś dzwonki. To pod nami pasą się krówki dźwigające zawieszone na szyi dzwonki. Ich właściciele nie mają dla nich litości. Przecież można oszaleć słysząc dzwonienie przy każdym ruchu przez cały dzień.

Gdy wysiadamy na stacji przesiadkowej termometr pokazuje 25 stopni Celsjusza, a trzeba wiedzieć, że dochodzi już piąta po południu. Wsiadamy do kolejnej kolejki, tym razem gondolowej i po zjechaniu do

Courmayeur przesiadamy się do naszego autobusu by ponownie przejechać przez Tunel du Mont Blanc i dotrzeć do hotelu na zasłużony obiad.

Jesteśmy zmęczeni, nawet bardzo zmęczeni, ale to co przeżyliśmy, a przede wszystkim to co zobaczyliśmy, daje nam radość i chęci na jutrzejsze wyjście w góry.

Alpy – pętla La Gorge – lacs Jovet – La Gorge

Tym razem czeka nas trasa lajtowa. Nie wiem czy przewodnicy pomyśleli, że mogli nas zamęczyć, i chcą dać nam odpocząć. Nie będę w to wnikał. Ważne, że znowu będziemy mieli te wspaniałe widoki. Tym razem wędrujemy po francuskiej części Alp. Pogoda zapowiadała się pięknie, choć po południu zapowiadają lekki deszczyk.



Najpierw jedziemy do miejsca znanego jako Notre-Dame-de-la-Gorge położonego za miejscowością Les Contamines-Mentjoie. Szybko ruszamy na szlak by jak najszybciej dotrzeć do naszego dzisiejszego celu, którym jest jezioro Jovet (Lacs Jovet) położone na wysokości 2194 metry n.p.m. Startujemy z wysokości 1200 metrów. Zatem dzisiejsze przewyższenia to 1000 metrów w górę i tyleż samo w dół. Cała trasa ma 15 kilometrów.

Od razu po wyjściu na trasę widzimy, że dzisiaj wcale nie będzie tak lekko jak nam to przedstawiano. Droga od razu sunie ostro pod górę. Miejscami prowadzi po skałach. Dobrze, że nie pada deszcz bo byłoby trochę nieciekawie. Idziemy wzdłuż rzeki Le Bon Nant.

Pierwszym ciekawym miejscem jest tajemniczy wodospad w miejscu oznaczonym jako Pont Romain na wysokości 1425 metrów. Co prawda przechodząc przez kamienny most o zarośniętych mchem balustradach nic nie wskazywało na coś co mogłoby nas zainteresować. Jednak zaciekawił nas fakt, że miejscowi wędrowcy zbaczają ze szlaku do lasu i coś tam wypatrują. Okazało się, że płynąca rzeka właśnie w tym miejscu tworzy piękne wodospady, którymi woda przedzierając się przez ich zakamarki podąża pod most by wypłynąć po jego drugiej stronie.

Dostównie kilkanaście minut drogi dalej dochodzimy do pierwszego na trasie schroniska Nant Borant działającego od 1842 roku. Nie tracimy jednak czasu i idziemy dalej. Wciąż mamy siły, trzeba to wykorzystać. Zaraz też widzimy tabliczkę z napisem La Rollaz wysokość 1535 metrów. To dobry znak.

Ciekawostką jest fakt, że nasz szlak podąża częściowo starą drogą rzymską zaczynającą się od mostu przy kościółku na początku trasy.

Dalsza trasa to spektakularne widoki zarówno z lewej jak i z prawej strony drogi. Nie wiemy czy podziwiać je idąc czy przystanąć by nacieszyć oczy tym pięknem. Na szczęście naszą uwagę przykuwają słyszane z daleka dzwonki. To krowy pasące się na zielonych łąkach. Mają one tutaj wspaniałe warunki. Nie tylko świeże pożywienie ale także czystą wodę z górskich strumieni.

I wreszcie docieramy do naszego schroniska. Refuge de la Balme położone na wysokości 1706 metrów było zaplanowane jako miejsce wypoczynku. Korzystamy z tego skrzętnie. Najpierw jednak odwiedzamy publiczne toalety usytuowane nieco niżej by się odświeżyć. To tutaj znajduje się wykonany z pnia drzewa zbiornik do którego wpływa czysta woda ze strumienia. Można uzupełnić puste bukłaczki. Co prawda przewodnicy mówili, że woda w miejscach, w których wypasają się krowy nie jest wskazana do picia, ale my przecież nie musimy się do tego stosować. Tym bardziej, że wszyscy miejscowi turyści uzupełniają swoje pojemniki.



Schronisko Refuge de la Balme.

Po odpoczynku ruszamy na ostatnie podejście. Przebojowo podchodzimy zakosami przez Plan Jovet (1920 metrów) i przechodząc drewnianą kładką nad potokiem ruszamy na ostatnie podejście. Tam ma czekać na nas nagroda. Jeszcze nie wiemy co to będzie ale jesteśmy tego bardzo ciekawi. Widzimy stadka owieczek i kóz. Widzimy jeszcze coś co nas wprawiło w osłupienie. Przed domkiem pasterskim stoją zaparkowane samochody. Jak one tutaj wjechały? Przecież nie ma tu żadnej drogi!

Resztkami sił wdzieramy się coraz wyżej pokonując kolejne zakosy. Co chwilę pojawia nam się jakiś wodospad. W końcu jesteśmy przy nim. No ten widok nas powalił. Coś wspaniałego.

Idziemy jednak dalej. Jeszcze tylko kawałek i mamy dotrzeć na miejsce. No i wreszcie jest. Lacs Jovet to jezioro położone na wysokości 2170 metrów n.p.m. Otoczone z wszystkich stron sięgającymi nieba szczytami. Coś niesamowitego. Nikt nie mógł nas powstrzymać przed zrzućeniem plecaków i legnięciem nad brzegiem jeziora by podziwiać jak w jego toni odbijają się poszczególne szczyty. Gdyby nie

stanowczość naszej przewodniczki pewnie leżelibyśmy tam do wieczora. Niestety musieliśmy się ruszyć by powrócić do miejsca, w którym czeka nasz autobus.



Odpoczynek nad Lacs Jovet – jeziorem położonym na wysokości 2170 metrów n.p.m.

Podczas zejścia do schroniska niespodziewanie została zaspokojona nasza ciekawość co do wspomnianych samochodów. Otóż gdy byliśmy obok domku pasterza ten wyszedł z niego, wsiadł do samochodu, powoli zjechał przez łąkę do stada owieczek, tam wsadził psa pasterskiego do ciągnionej przyczepy i przejeżdżając przez strumień ruszył na dół. Okazało się, że trochę niżej ma prowizoryczną drogę po której może stoczyć się niżej. Super.

Mijając schronisko już widzimy, że prognozy zapowiadające deszcz najwidoczniej się sprawdzają. Ruszamy zatem szybko dalej i niestety po kilkudziesięciu minutach zmuszeni jesteśmy do wyjęcia z plecaków kurtek przeciwdeszczowych. Spacer w strugach deszczu nie jest już tak przyjemny jak do tej pory, jednak taka pogoda zmienia oblicze gór. Teraz wydają się być jeszcze piękniejsze ale i bardziej tajemnicze, a nawet trochę groźne.



Gdy docieramy do czekającego autobusu spotyka nas nagroda za nasze trudy. Otóż kościółek Notre-Dame-de-la-Gorge jest otwarty, a w nim tłum ludzi. Okazuje się, że odbywał się tam koncert. Mogliśmy zajrzeć do środka by przekonać się jak świątynia wygląda dzisiaj.

Pierwsze wzmianki o tym miejscu pochodzą z X wieku kiedy to osiedlił się tu pustelnik chcący zapewnić schronienie podróżnym. Obecny kościółek jest ośrodkiem kultu maryjnego. Nic też dziwnego, że w Kaplicy Matki Boskiej Wąwozu (oficjalna nazwa) w ołtarzu głównym znajduje się przedstawienie Matki Boskiej Wniebowziętej, w niszy nad drzwiami znajduje się figura Matki Boskiej z Dzieciątkiem, a w kolejnych miejscach umieszczono dewizy związane z jej kultem. Najważniejsza z nich brzmi następująco: „Jestem matką pięknej miłości”.

W 1728 roku wykonano grupę 14 kaplic wyznaczających drogę do kościoła dla uczestników procesji.

Dodam jeszcze, że około 200 metrów za kościołem znajduje się kamienna kaplica wzniesiona po tym jak podczas powodzi w roku 1914 poprzednią zniszczył

wezbrane wody rzeki Bon-Nant. Według tradycji jest to miejsce wybrane na pustelnię przez pierwszego pustelnika z wąwozu.

Alpy – z Forclaz przez Col de Balme do Tre le Champ



Ruszamy w trasę.

Ten trekking zapowiadał się bardzo ciekawie. Z nastaniem ranka ruszyliśmy na przełęcz Forclaz (1526 metrów n.p.m.) po szwajcarskiej stronie by wdrapać się do schroniska Col de Balme (2191 metrów) znajdującego się na granicy szwajcarsko-francuskiej i stamtąd dotrzeć do Tre Le Champ (1417 metrów) we Francji. Jak widać przewyższenie w górę to prawie 900 metrów a w dół niemal 800. Całość to niespełna 13 kilometrów. Jednak, jak się okazało, wcale nie było łatwo.



Schronisko Refuge du Col de Balme (2204 metry n.p.m.).

Po przejechaniu na stronę szwajcarską dotarliśmy do polany z parkingiem, polem namiotowym i przystankiem komunikacji miejskiej. Pogoda dopisywała. Wszystko zapowiadało się ciekawie. To przyjazne turystom miejsce znajduje się 10 minut od miejscowości Trient.

Od razu weszliśmy na Tour de Mont Blanc, nasz ulubiony szlak turystyczny. Niestety ledwie doszliśmy do lasu kiedy droga zaczęła piąć się w górę. Tylu zakosów i tak stromego podejścia nie widziałem już dawno. Nic też dziwnego, że nasza grupa szybko rozciągnęła się. Nie byliśmy jednak sami na szlaku. Razem z nami podążali miejscowi turyści oraz grupy turystów z Japonii. Bardzo szybko tak się wymieszaliśmy, że chyba nikt nie był w stanie określić kto z której jest grupy. Pot zalewał nam oczy. Ciągle patrzyliśmy pod nogi by nie potknąć się o jakiś wystający korzeń.

Jedyną ciekawostką jaką wypatrzyłem po drodze była przymocowana do skalnej ściany tablica upamiętniająca Charlesa Eugene Ramuza – inżyniera, porucznika artylerii zmarłego na Glacier des Grands (lódowiec we Francji) w 1902 roku.



Gdy tylko wyszliśmy z lasu naszym oczom ukazały się widoki zarówno na widoczny w dole Trient jak i stojące wysoko nad nami schronisko Glacier des Grands. Zrobiliśmy sobie krótką przerwę by nacieszyć się tymi widokami. Idąc dalej usłyszeliśmy jakieś gwizdy. Okazało się, że po przeciwnej stronie doliny mieszka kolonia świstaków. To one się tak nawoływały. Widoczne wejścia do ich nerek czy ich gwizdy to jedno ale wypatrzenia żywego osobnika w terenie to zupełnie inna sprawa. Nie wiem nawet jak długo staraliśmy się namierzyć choć jednego osobnika ale w końcu udało nam się. Mogliśmy ruszać dalej.

W końcu jesteśmy na Col de Balme, przełęcz położonej na wysokości 2191 metrów n.p.m. To tutaj znajduje się granica pomiędzy Szwajcarią a Francją. Oficjalnie mówi się, że panorama z tej przełęcz nie ma sobie równej w całym rejonie Mont Blanc. A jak to bywa w takich miejscach, od razu poczuliśmy silny, przenikliwy wiatr. Dlatego nasz odpoczynek nie trwał długo. Ledwie wystarczyło czasu by skorzystać z toalety i zajrzenia do schroniska Refuge du Col de Balme (2204 metry) a już dostaliśmy rozkaz wymarszu. Nie pozostało nic innego jak wykonać polecenie. Udaliśmy się na stronę francuską i dosyć męczącymi zakosami zeszliśmy do górnej stacji kolejki gondolowej zwożącej turystów do miejscowości Le Tour.

My oczywiście, po krótkim odpoczynku, ruszyliśmy dalej pieszo. I muszę przyznać zostaliśmy za nasz trud wynagrodzeni. Wkrótce bowiem ukazał nam się widok na lodowiec Glacier du Tour.

Muszę powiedzieć, że opisana trasa była bardzo wymagająca co przełożyło się na nasze zmęczenie. Dlatego byliśmy radzi gdy ujrzelśmy nasz autobus zaparkowany na parkingu.

Alpy – z Chamonix na Aiguille du Midi (3842 metry n.p.m.)

Tym razem przejechaliśmy do Chamonix by dotrzeć na Aiguille du Midi – szczyt wznoszący się na niebotyczne 3842 metry ponad poziom morza. Możecie sobie to wyobrazić? Coś niebywałego! Oczywiście uznaliśmy, że skorzystamy z wyciągu linowego. Nie było sensu męczyć się wchodząc pieszo. Jak się okazuje dwuczściowa kolejka na szczyt jest uznawana za najwyższą kolej we Francji, a także za najwyższą kolej linową jeśli chodzi o wjazd pionowy. Została uruchomiona w 1955 roku. Sama Aiguille du Midi ma dwa wierzchołki, niższy (północny) o wysokości 3795 metrów i wyższy (południowy) o wysokości 3842 metry n.p.m. Oba wierzchołki są połączone mostem a na wyższy wozi winda umieszczona w wydrążonym wewnątrz góry tunelu.

Co ciekawe to pierwszego wejścia na szczyt dokonał nasz rodak Antoni Malczewski w 1818 roku. Towarzyszył mu Jean-Michel Balmat oraz pięciu przewodników. Jeśli chodzi o niższy wierzchołek to pierwszymi, którzy na nim stanęli byli Jacques Balmat i Michael-Gabriel Paccard. Dokonali tego w 1786 roku.

Wjeżdżając na szczyt mamy niemal 2800 metrów różnicy poziomów co często przyczynia się do niedyspozycji osób nie chodzących po wysokich górach. Trzeba podkreślić, że druga część wyciągu została tak zbudowana, iż lina podtrzymująca wagonik wspiera się tylko w dwóch miejscach usytuowanych na początku i na końcu wjazdu.



Aiguille du Midi.

Na szczycie mamy do dyspozycji tarasy widokowe, małe muzeum, kino, restaurację. Największą jednak atrakcją jest szklana klatka zawieszona nad tysięczmetrową przepaścią. To właśnie do niej ustawia się najdłuższa kolejka chcących zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. Aby szklana posadzka klatki nie została uszkodzona każdy wchodzący do niej musi założyć filcowe kapcie, takie jakich kiedyś używano w muzeach. Osoby chcące doznać większej dawki adrenaliny wychodzą na lodowiec. Dla bezpieczeństwa wejście jest odgródzone metrowej wysokości płotkiem. Dlatego trzeba go przeskoczyć. Nie jest to wcale takie łatwe gdyż wychodzący na zewnątrz najpierw zakładają raki bez których chodzenie po lodowcu jest zabronione. Poszczególne ekipy dodatkowo wiążą się linami.

Gdy dotarłem na szczyt pogoda nie sprzyjała pięknym widokom. Silny wiatr co chwilę skrywał wszystko w chmurach. Dopiero gdy zdecydowaliśmy o zjeździe na dół, jak za dotknięciem czarodziejki, chmury rozeszły się i naszym oczom ukazało się całe piękno Alp. Nic dziwnego, że stąd wyruszają chętni na zdobycie najwyższego szczytu Europy Mont Blanca.

Ponieważ na szczycie temperatura wynosiła -1 stopień Celsjusza zjechaliśmy na stację pośrednią, z której po odpoczynku ruszyliśmy na naszą dzisiejszą wędrowkę.



Plan de l'Aiguille leży na wysokości 2317 metrów, dlatego przed nami długi trawers w stronę hotelu Montenvers. Na szczęście tutaj pogoda była taka o jakiej myśleliśmy. Świeciło słońce i można było spokojnie pokonywać kolejne wzniesienia i zejścia. Tym bardziej, że przed nami było kilka godzin marszu.

Początkowo dotarliśmy do położonego na 2207 metrach schroniska Refuge du Plan de l'Aiguille. Dalej wędrowaliśmy przez miejsce zwane La Tapia (2150 metrów) by spotkać pasterki pilnujące niewielkie stadko owieczek. Najlepszy był ich pies, który wykonywał komendy podawane gestami czy wręcz skinieniem głowy lub mrugnięciem powiek. Skutecznie pilnował porządku zarówno w stadzie jak i utrzymywał nas w bezpiecznej od niego odległości.

Podążając ścieżką przez rumowiska skalne cały czas mieliśmy pod nami widok na Chamonix. Jednak ucieszyliśmy się gdy dojrzeliliśmy jakieś zabudowania na naszej wysokości. Mieliśmy świadomość, że czeka nas tam odpoczynek.



Tunele wydrążone w lodowcu.

Jak się wkrótce okazało nie do końca tak miało być. Dotarliśmy do Montenvers (1913 metrów). To właśnie tutaj stworzono możliwość wejścia do wydrążonych w lodowcu tuneli. Niestety lodowce wciąż topnieją. Więc gdy wybudowano kolej zębatą do tego miejsca lodowiec cofnął się na tyle, że aby go przybliżyć turystom wybudowano koło ostatniej stacji kolejki górskiej wyciąg gondolowy zwożący chętnych kilkadziesiąt metrów niżej. Tam wybudowano ciąg schodów prowadzących do wejścia w tunele. Muszę przyznać, że nie było lekko, ponad 200 schodów, a przecież jeszcze trzeba było wejść z powrotem na górę by wyciągiem wjechać na stację.

Warto jednak było się pomęczyć. Odczucia wewnątrz lodowca były niesamowite. Już sam kolor lodu, przebijający błękit błyszczący w topniejącym lodzie, do tego śliska posadzka po której spływała woda z lodowca. Nie mówię tutaj o niskiej temperaturze – to było oczywiste. Przejście przez „Jaskinię Lodową” pełną podświetlanych rzeźb wykonanych w czystym lodzie na pewno pozostawi w nas wspaniałe wspomnienia.

Lodowiec Mer de Glace (po polsku Lodowe Morze), który podziwialiśmy, to najdłuższy lodowiec we Francji. Początkowo lodowiec powiększał się co zaczęło zagrażać położonej poniżej miejscowości. Gdy jego jezor spłynął do doliny

Chamonix postanowiono podjąć stanowcze kroki by zażegnać niebezpieczeństwo. Zorganizowano procesję, którą poprowadził Karol Salezy, biskup pomocniczy w Genewie. Ruszył on na czele 300 parafian i gdy dotarł na miejsce egzorcyzmował lodowiec. Jak się okazało przyniosło to oczekiwany skutek i lodowiec cofnął się. Po pewnym jednak czasie lód ponownie zaczął zbliżać się do Chamonix. Powtórzono wówczas egzorcyzmy. Ten sposób obrony przed nieszczęściem podejmowano w latach 1644, 1664 i 1669. Dzisiaj lodowiec skutecznie powstrzymuje ocieplenie klimatu. Jest to na tyle kłopotliwe, że jak to zobaczyliśmy, lodowiec jest przykrywany płachtami chroniącymi go przed ciepłymi promieniami słonecznymi.



Taki widok to można podziwiać codziennie.

Dodam jeszcze, że pierwszymi osobami, które dotarły na lodowiec w 1741 roku byli Anglicy William Windham i Richard Pocock. To właśnie oni nadali mu nazwę „Mer de Glace”. To dzięki rozpowszechnieniu spisanej przez nich relacji z wyprawy angielskich arystokratów, żołnierzy podczas której spotkali się oni z miejscowymi mnichami, Europa zachwyciła się tymi terenami. Powszechnie uważa się to za początek turystyki w Chamonix. Wykonali oni wówczas rysunek przedstawiający

wszystkich wspomnianych na tle masywu Mont Blanca. Niestety rysunek ten zaginął ale zachował się namalowany na jego podstawie obraz.

Ostatnia część przejścia to przejazd kolejką zębatą do Chamonix. Tak po prawdzie była to nie tyle przyjemność co prawdziwa rozpusta. Siedzieliśmy sobie wygodnie oglądając krajobrazy a czerwony pociąg zjeżdżał powolutku w dolinę.

Kolejka zębata została wybudowana dla potrzeb otwartego w 1880 roku Grand Hotelu du Montanvers. Miała ona zastąpić muły wykorzystywane do transportu turystów. Pierwszy wjazd odbył się w 1908 roku, czyli po 16 latach od podjęcia decyzji o jej budowie. Trasa ma 5 kilometrów długości ale na tak krótkim odcinku pociąg pokonuje niemal 900 metrów przewyższenia.

Dzisiaj brak tego pociągu jest nie do pomyślenia. No bo jak byśmy się tutaj dostawali?

Alpy – przejście z Bellevue przez przełęcz Tricot do Le Crouet derriere do Le Quy

Dzisiaj pogoda nas dopieściła. Cały dzień słońko grzało niemiłosiernie. Sama trasa nie była zbyt wymagająca. Przewyższenie w górę to ledwie 500 metrów ale za to w dół 1100 metrów. Długość całego przejścia to niespełna 8 kilometrów. Trasa była dość wymagająca ale za to jakie widoki nam towarzyszyły, a i niezwykle przeżycia.

Początkowo dotarliśmy do stacji kolejowej Saint Gervais Le Fayet gdzie wsiedliśmy do Tramwaju Mont Blanc, którym pojechaliśmy na stację Bellevue położoną na wysokości 1794 metry n.p.m. Dalej ruszyliśmy pieszo by szybko dotrzeć do górnej stacji wyciągu linowego z Chamonix.

Na moje nieszczęście rozpoznałem to miejsce. To właśnie stąd kilka lat temu wyruszyłem by zdobyć Mont Blanca. Niestety nie udało mi się to wówczas. Idąca za mną dziewczyna spadła kilkaset metrów niżej ponosząc śmierć na miejscu, a ja ledwie uszedłem z życiem. Teraz patrząc na trasę i nieco dalej na ośnieżony kocioł nad którym widać bunkier, w którym wtedy nocowałem; na widoczny lodowiec i trasę tramwaju Mont Blanc, którą wracaliśmy zawróceni z wyprawy, przypominają mi się tamte chwile i nie jest to zbyt radosne.



Wygodny sposób pokonania pierwszego tysiąca metrów przewyższenia.

Na szczęście tym razem idziemy dużo niżej, przechodzimy przez L'Are (1760 metrów n.p.m.), Plat de l'Are (1775 metrów) by dojść do wiszącego mostku, po którym przechodzimy nad rwącym strumieniem. Musimy tutaj nieco przystopować gdyż jednorazowo, ze względów bezpieczeństwa, na mostku mogą znajdować się tylko trzy osoby. A przecież każdy przechodzący chce zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. Woda płynąca pod nami tworzy ciek o nazwie Torrent de Bionnassay i wypływa z położonego ponad nami lodowca Lac Glaciaire de Bionnassay.

Teraz czeka nas trochę wymagających przejść i w końcu docieramy na przełęcz Tricot (2120 metrów n.p.m.). Należy nam odpoczynek zakłócają fruwające nad naszymi głowami „sępy”. Jak mówią znawcy tematu są to wieszczki. Nie wiem tylko co chcą nam przepowiedzieć. Widać, że niektórym brak adrenaliny i aby to naprawić wspinają się na szczyt wzgórza nad nami. Nam to nie jest do szczęścia potrzebne więc spokojnie posilamy się by za chwilę ruszyć w dół. Musimy zebrać siły, widzimy bowiem co nas teraz czeka. Zejście w dół ma sprowadzić nas 1100

metrów niżej. Co prawda w oddali widzimy na samym końcu doliny schronisko do którego zmierzamy ale nam się zdaje, że jest ono niemal na końcu świata. Do tego te dziesiątki zakosów przed nami.



W Alpach czekają na turystów i takie atrakcje.

Gdy wreszcie dotarliśmy do schroniska Miage byliśmy wykończeni. Dobrze, że jest tutaj gdzie usiąść by nieco odsapnąć przed dalszą drogą. Co prawda większość wolnego czasu spędziliśmy w kolejce do jedynej toalety ale nie narzekaliśmy. W sumie, zasłużyliśmy sobie na chwilę wytchnienia.



Widoki z przełęczy Col de Tricot są niesamowite.

Dalsza trasa zapowiadała się spokojnie, widać że szlak prowadzi równą drogą. Niestety po przejściu krótkiego odcinka ponownie czeka nas strome zejście przez las do drogi. Na szczęście udało się nie skreślić nogi. Przechodzimy przez Le Crouet Derrre do Le Quy gdzie umówiliśmy się z kierowcami naszego autobusu.

Alpy – przejście od schroniska de la Flegere do Lac Blanc i z powrotem

Tym razem wchodzimy na południową „drogę balkonową” będącą najstojniejszą w całych Alpach szlakiem prowadzącym przez rezerwat Aiguilles Rouges po zboczu Arve, wysoko nad Chamonix. Cała trasa to niespełna 10 kilometrów z przewyższeniami po 500 metrów w górę i dół. Trasa niby krótka ale bardzo wymagająca. Ciągłe strome podejście po kamieniach robi swoje. Dlatego po dojściu do jeziora zrobiliśmy sobie dosyć długi odpoczynek. Zwłaszcza, że widoki stamtąd są niesamowite.



Zanim tam doszliśmy skorzystaliśmy z wyciągu Flegere Le Praz de Chamonix (1062 metry n.p.m.) by pominąć najgorszą część podejścia. W ten sposób zaoszczędziliśmy siły na dalszą drogę. Wyciąg wywiózł nas na wysokość 1877 metrów. To właśnie tutaj znajduje się schronisko La Flégère.

Niestety pogoda dzisiaj nam nie sprzyjała. Tak przynajmniej się nam wydawało. Było chłodno i lekko kropiło. Do tego białe obłoki zasłaniające widoczne czasami szczyty. Jak się jednak szybko okazało właśnie ta pogoda była dla nas wybawieniem. Nie dość, że nie pociliśmy się w pełnym słońcu to gdy wiatr przeganiał chmury odsłaniał przepiękne widoki. Takie, których byśmy przy dobrej pogodzie nigdy nie widzieli.

Nasza dzisiejsza trasa początkowo prowadziła lekko w dół ale tylko kawałeczek. Wkrótce rozpoczęliśmy marsz mozolnie wspinając się coraz wyżej. Po drodze mijaliśmy ułatwienia w postaci drewnianych pomostów pozwalających przejść podmokły teren. Były też łańcuchy i schody wykute w skale oraz metalowe

pomosty. Umożliwiały one także w miarę wygodny odpoczynek. W końcu dotarliśmy nad jezioro Lac Blanc nad którym widzieliśmy niepowtarzalną panoramę masywu Mont Blanc. Nie wiadomo skąd się wzięło tylu turystów ale były tutaj prawdziwe tłumy. Niby teren ten jest chroniony jako rezerwat ale wszyscy schodzą ze szlaku by pospacerować dookoła jeziora. Jedyne czego nikt nie robi to nie moczy w wodzie nóg. To jest tutaj surowo zabronione i właśnie za to są nakładane bardzo wysokie mandaty. Chodzi o to by nie zatruwać wody wszelkimi kremami jakich używają turyści. Może to i słuszne.



Miejsce to jest bardzo przyjazne turystom. Możemy odpocząć rozsiadając się na kamieniach albo skorzystać z oferty schroniska Lac Blanc. Także tutaj znajduje się spora toaleta z wodą, ręcznikami i mydłem. Są nawet suszarki. Jesteśmy na wysokości 2352 metry n.p.m. Odpoczynek w takim miejscu to sama przyjemność. Zwłaszcza, że wiatr przegnał chmury i przestał padać deszcz. Jest super.

Teraz pozostało nam tylko wrócić do wyciągu. Droga powrotna niby jest taka sama jednak wcale nie idzie się nią tak samo. Zejście jest bardziej wymagające, zwłaszcza w trudnych miejscach ubezpieczanych łańcuchami. Ale mieliśmy niespodziankę.

Oto gdy na chwilę przystanęliśmy zza skały wyszły kozice górskie. Wcale się nas nie bały. Spokojnie skubały sobie trawkę i pozwalały robić sobie zdjęcia.

Nasz spacer zakończyliśmy w La Flegere by ponownie wsiąść do kolejki i zjechać do Chamonix. Tym razem organizatorzy przygotowali dla nas niespodziankę. Zanim dojechaliśmy do hotelu zatrzymaliśmy się w ośrodku, gdzie znajdowało się startowisko dla lotniarzy,. Mogliśmy zobaczyć



jak przygotowują się oni do lotu. Okazało się, że to wcale nie jest takie proste. Gdy nie ma sprzyjającego wiatru muszą oni stać w pełnym ekwipunku czekając na dogodną chwilę. Gdy jednak przyjdzie wiatr ruszają biegiem by po chwili wzbić się w górę. Widać, że wtedy są szczęśliwi. Szybują nad doliną unosząc się nad szczytami by po chwili lecieć w dół w stronę widocznego daleko w dole lądowiska.

Alpy – przejście od schroniska Flegere do Planpraz i dalej na szczyt Brevent

To już ostatni dzień naszej wędrówki po Alpach. Dzisiaj nieco łagodniejsza trasa ale równie piękna jak wczorajsza. Idziemy tym razem południową „drogą balkonową” szlakiem ponad doliną Arve by dojść do Planpraz, skąd możemy wejść na niezwykle widowiskowy szczyt o nazwie Brevent o wysokości 2525 metrów. I tym razem całość przejścia to niespełna 10 kilometrów z przewyższeniem około 700 metrów.

Korzystamy z tej samej kolejki co wczoraj jednak po dotarciu do La Flegere wyruszamy szlakiem w przeciwnym kierunku. Początkowo idziemy po poziomicy ale szybko się to zmienia. Mamy strome zejścia i podejścia. Nie można się nudzić. Tym bardziej, że pogoda jest wprost wymarzona i widać wszystkie okoliczne szczyty. Głównym punktem krajobrazu jest oczywiście Masyw Mont Blanc. Widzimy jak wokół szczytu krążą dziesiątki lotniarzy. Coś pięknego. Droga jest trochę wymagająca, trzeba dobrze uważać by nie skreślić sobie nogi.



Pokonujemy Charlanon (1812 metrów) i spokojnie docieramy do Palpraz (2000 metrów). Tam robimy krótki odpoczynek i każdy podejmuje decyzję czy wchodzimy na widoczny szczyt pieszo czy wjeżdżamy nań kolejką. Niektórzy wybrali wersję wygodniejszą czyli wjazd kolejką i zejście piesze a niektórzy postanowili zarówno wejść na szczyt jak i zejść z niego. A muszę przyznać, że trasa zejścia była warta naszego zachodu. Po drodze nie dość, że mieliśmy wspaniałe widoki to jeszcze mogliśmy popatrzeć jak wspinają się po ścianach alpiniści. Wygląda na to iż jest to ulubione miejsce dla chcących wejść na górę w sposób ekstremalny.



Wracając jednak do naszego dzisiejszego głównego celu czyli szczytu Breven to wznosi się on na wysokość 2525 metrów n.p.m. Jest, jak już wspomniałem udostępniony kolejką gondolową zbudowaną w latach 1962 – 1971. Trzeba wiedzieć, że w tamtych czasach materiały potrzebne do budowy dostarczane były tutaj na mułach albo wnoszone przez ludzi na własnych barkach. Są tu tylko dwie duże gondole które mijają się dokładnie w połowie trasy. By wiedzieć kiedy to następuje na linach zaznaczono to miejsce. Warto wiedzieć, że lina rozpięta jest tylko na dwóch podporach, na dole i na szczycie.

Dzisiaj na szczycie znajduje się wiele udogodnień dla turystów. Choćby drogowskaz wskazujący na najwyższy szczyt Europy znajdujący się po drugiej stronie doliny – Mont Blanc (4810 metrów n.p.m.). Magnesem jednak przyciągającym tutaj turystów są najwspanialsze widoki jakie można sobie wymarzyć będąc w Alpach. Panorama ze szczytu ma 360 stopni. Widać tutaj wszystkie szczyty i przełęcze na których byliśmy podczas naszych przejść. Wydają się one w zasięgu ręki. Tak jednak nie jest, aby się dostać na nie zazwyczaj trzeba się nieźle namęczyć.

Gdy już nasycimy się tymi wspaniałymi widokami i zejdziemy na dół warto zanim wsiądziemy do kolejki by zjechać do Chamonix usiąść na trawie i popatrzeć jak startują lotniarze. Jest to bowiem bardzo przyjazne dla fanów takiego rodzaju sportu miejsce. Możemy zobaczyć jak instruktorzy przewożą swoich klientów. Największe wrażenie robi na nas widok lotniarzy meandrujących pod i nad wyciągiem. Często wydaje nam się, że albo zahaczą o linę albo się zderzą. Tak jednak się nie dzieje.

Nam nie pozostaje nic innego jak zjechać wyciągiem i ruszyć na ostatnie zwiedzanie Chamonix. Jest to nasz wieczór pożegnalny z Alpami, z ich pięknem i tajemnicami. Rano ruszymy w drogę powrotną do kraju.

41. spacer historyczno-krajoznawczy – historia wyrobów szklanych

41. spacer w ramach spotkań historyczno-krajoznawczych organizowanych przez Muzeum Karkonoskie i Regionalną Pracownię Krajoznawczą Karkonoszy działającą w Oddziale PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze poświęcony był sztuce wytwarzania pięknych wyrobów ze szkła.

30 lipca 2025 roku uczestnicy spotkania zostali oprowadzeni po nowej wystawie „Szklane korzenie. Regina Włodarczyk-Puchała, Aleksander Puchała, Jerzy Śluczank-Orkusz, Henryk Albin Tomaszewski”. Kurator wystawy pani Marlena Baranik z Działu Szkła MK przybliżyła życiorysy tych wybitnych artystów jak i pokazała ich twórczość. Trzeba przyznać, że jej opowieść była niezwykle rzeczowa ale przede wszystkim pozwoliła obecnym niemal poczuć tworzone ze szkła piękno.



Przygotowana wystawa prezentująca wiele cennych wyrobów jest od czymś wyjątkowym, czymś koło czego nie można przejść obojętnie. Już same nazwiska zawarte w tytule gwarantują jej wysoką wartość. Wszyscy wymienieni swoją artystyczną pracę rozpoczynali w Hucie Szkła Kryształowego „Julia”, w jej oddziałach w Szklarskiej Porębie i Piechowicach.

Ponieważ prace każdego z tych artystów przedstawiają wysoki poziom a także nowatorskie podejście do materii jaką jest szkło, zostały wyeksponowane w oddzielnych salach. Dzięki temu możemy poznać różnice końcowego efektu poszczególnych dzieł jak i porównać ich odrębność.

Regina Włodarczyk-Puchała (1931-2019) swoje życie artystyczne związała z Hutą Szkła Kryształowego „Julia” w Szklarskiej Porębie. Najpierw jako projektantka, później jako kierownik Ośrodka Wzornictwa. Wyroby oparte o jej wzornictwo były proste w formie oraz miały doskonałą proporcję. To przede wszystkim szkła kryształowe zdobione geometrycznym szlifem. Oczywiście artystka wykonywała także szkła unikatowe, w których realizowała swoje pomysły chcąc wydobyć ze

szkła jak najwięcej. Często były to próby na pograniczu możliwości tak delikatnego surowca.



Aleksander Puchała (1931-1997) również swoje życie zawodowe związał z Hutą Szkła Krysztalowego „Julia” w Szklarskiej Porębie. Jego dzieła to proste bryły z wyraźnie zaznaczonymi podziałami. Wiele jego dzieł jest zaliczanych do kanonu polskiego szkła użytkowego. Zarówno on jak i jego żona za swoją twórczość byli nagradzani na wielu wystawach a ich prace pokazywane w kraju i za granicą znajdują się w zbiorach muzealnych i prywatnych.

Jerzy Słuczana-Orkus (1924-2002) także swoje życie zawodowe rozpoczął w Szklarskiej Porębie. Był pierwszym powojennym kierownikiem Ośrodka Wzorującego. Mimo, iż pracował tam tylko kilka lat pozostawił po sobie ponad 250 form i szlifów zdobniczych. Artysta kilkakrotnie zmieniał miejsce zamieszkania i miejsca pracy. W każdym z tych miejsc pozostawiał po sobie wyjątkowe projekty. Tak było w Hucie Szkła Oświeceniowego „Nysa” w Pieńsku. Tak też było w Krakowskich Zakładach Badań i Doświadczeń Przemysłu Szklarskiego gdzie opracował nowe receptury szkieł kolorowych. Ostatnim miejscem pracy była Huta

Szkła „Tarnowiec” w Tarnowie. To tam szkła wytwarzane według jego projektów stały się ikoną tamtych czasów.

Henryk Albin Tomaszewski (1906-1993) swoją przygodę ze szkłem rozpoczął w Szklarskiej Porębie już w 1946 roku. Przez ledwie kilka lat, dzięki mozolnej pracy połączonej ze współpracą z hutnikami oraz fascynacji wyrażanej podczas własnoręcznego szlifowania szkła doszedł do niebywałej perfekcji. Jego prace charakteryzowały się prostotą a jednocześnie były dopracowane w najmniejszych szczegółach. Nic też dziwnego, że były wystawiane niemal na całym świecie.



Spotkania historyczno-krajoznawcze mają to do siebie, że po części, można powiedzieć „duchowej” wyruszamy w teren by odetchnąć świeżym powietrzem i poznawać miejsce naszego zamieszkania. Tym razem poprowadziłem chętnych na Wzgórze Kościuszki gdzie poznawaliśmy miejsca z niezwykle historią. Przede wszystkim przybliżyłem działalność burmistrza Jeleniej Góry Johanna Christopa Schöna, twórcy parku, któremu wdzięczni mieszkańcy wystawili przepiękny pomnik znajdujący się dzisiaj na terenie Muzeum Karkonoskiego. W parku znajduje

się z kolei pomnik wystawiony przez wdzięcznego męża swojej żonie Fryderyce Schöнау za jej wkład w tworzenie tego pięknego założenia.

Odwiedziliśmy także miejsce po dawnej szubienicy oraz zapoznaliśmy się z niezwykłym obiektem jakim jest przekrój geologiczny Sudetów. Na koniec przeszliśmy aleją na której są przedstawione miasta partnerskie Jeleniej Góry i udaliśmy się na siłownię oraz do nowo oddanego parku zabaw.

Wydawca:

Komisja Krajoznawcza Oddziału PTTK "Sudety Zachodnie"

Jelenia Góra – lipiec 2025

Tekst i foto: Krzysztof Tęcza